

PRZY ŻYCIU TRZYMAJĄ MNIE EMOCJE

Z KRYSZYNA JANDĄ rozmawia Irena Maślińska

— Zbliża się 100. przedstawienie „Na szkle malowane” w Teatrze Powszechnym. To był Pani debiut reżyterski. Półtora roku temu, przed premierą, mówiła Pani, że doszło do niego trochę przypadkiem. Ale oto 9 stycznia, w poniedziałkowym Teatrze Telewizyjnym, obejrzymy „Hedda Gabler” Ibsena w Pani reżyserii, a obecnie w studio telewizyjnym realizuje Pani „Cyda” Corneille’a. Reżyseria stała się faktem w Pani życiu?

— To są pierwsze próby, zobaczymy, co będzie dalej. „Hedda Gabler” to był w pewnym sensie również przypadek. Pewien młody reżyser zaproponował mi rolę Heddy. Zawsze o niej marzyłam, ale nigdy wcześniej nie miałam takiej propozycji.

— Dlaczego więc teraz Pani ją odrzuciła?

— Przejrzałam sztukę po latach i zrozumiałam, że dla mnie jest już za późno na tę rolę. To są problemy 25-letniej kobiety i stałyby się po prostu śmieszne, gdyby Hedda miała lat 40. Długo tłumaczyłam to temu reżyserowi, zanim przyznał mi rację, a przy okazji zwierzałam się w telewizji, jak bardzo mi żal i opowiadałam, że mam tę sztukę precyzyjnie przemyślaną. Minał rok, a ja ciągle myślałam o Heddzie. Ponieważ tamta realizacja nie doszła do skutku, wyznałam kiedyś, że marzę, aby to zrobić jako reżyser. I pan Jerzy Koenig, dyrektor Teatru TV, zarzykował — dał mi tę szansę.

— Dlaczego tak bardzo chciała Pani zagrać tę rolę — kobietę zderzoną przez ambicję, potwornie znerwicowaną, pozbawioną ciepła i w gruncie rzeczy odpychającą?

— Mało jest w literaturze teatralnej ról tak pięknie skomponowanych i tak wyrazistych. Wydawało mi się także, że moje środki wyrazu i pewna niezależność, którą mam w sobie, współgrają z postacią dumnej i „osobnej” Heddy. Ta rola wymaga jakby gorsetu formy. Anna Radwan w moim przedstawieniu zagrała to pięknie i dokładnie tak jak marzyłam.

— Hedda Gabler jest tragiczną heroiną, ale ogromnym powodzeniem cieszą się grane przez Panią monodramy — „Shirley Valentine” i „Kobieta zawiedziona” w Teatrze Powszechnym, które publiczność odbiera jako sztuki „życiowe”, a szczególnie kobiety często całkowicie utożsamiają Panią z bohaterkami scenicznymi, ztracając poczucie granicy między teatrem a rzeczywistością. Pani podobno gra je bardzo chętnie?

— Bardzo lubię Shirley, ale lubiłam także grać Medę. Tak się szczęśliwie złożyło, że grałam różne role — komiczne i tragiczne. Bardzo tylko żałuję, że nigdy nie zagrałam Szekspira. Moim naprawdę wielkim marzeniem była Rozalinda w „Jak wam się podoba”. W najcięższych czasach stanu wojennego wydawało mi się, że ta rola jest jak promień słońca. Wiedziałam dokładnie, jak

ją zagrać, by publiczność bawiła się i cieszyła razem ze mną. Dążyłam do tego ze wszystkich sił, a jednak nie doszło do prób. Mój żal i rozczarowanie były ogromne, ale tak to bywa w życiu aktorki. Podobnie z Heddą i Chimeną z „Cyda”. Te role nigdy do mnie nie przyszły i dlatego teraz staram się wyartykułować je z siebie przy pomocy innych aktorów.

— Kto zagra Chimenę w Pani spektaklu telewizyjnym?

— Studentka II roku szkoły teatralnej, Ewa Gorzelak. Cydem będzie jej kolega z roku, Mariusz Dorociński. To początek ich drogi zawodowej, niewiele jeszcze umieją, ale są cudowni i niezwykle wzruszający. A „Cyda” to nie tylko opowieść o honorze, ale przede wszystkim o miłości między bardzo młodymi ludźmi, jeszcze prawie dziećmi. Rodryga, Chimenę i Infantkę los postawił w bardzo skomplikowanej sytuacji. Młodość aktorów jest tu ich wielkim atutem.

— Czy reżyseria oznacza, że rozpoczął się nowy etap w Pani życiu?

— Reżyseria jest logicznym dopełnieniem dwudziestu lat pracy, podczas których zagrałam 50 ról filmowych, około 35 telewizyjnych i 20 teatralnych. Kontakt z wieloma reżyserami i nieustanne rozwiązywanie szarad sytuacyjno-interpretacyjnych dały mi pewnego rodzaju trening. A realizacja swojej własnej wizji całości jest wielką radością. Teraz czekać będę z dużym niepokojem, jak „Hedda Gabler” będzie przyjęta i oceniona.

— Starając się umówić na wywiad, z pewnym skrepowaniem telefoniowałam do Pani już o ósmej rano. Później jednak nie można Pani zastać.

— Wstaję już o szóstej, gdyż budzą mnie moi synowie — chłopcy w wieku trzech i pięciu lat. Na ogół o dziesiątej mam próby, wyjeżdżam więc z domu przed dziewiątą. Dzisiejszy dzień, gdy wyjątkowo mogłam zostać z dziećmi do południa, a potem miałam próbę i wieczorem spektakl w teatrze, był bardzo „relaksowy”. Ponieważ jestem chora i mam temperaturę, te „wolne” pół dnia bardzo mi się przydało. Podczas realizacji spektaklu w telewizji dzień zdjęciowy zaczyna się o 6 rano a kończy o 1 albo o 2 w nocy.

— Będąc tak przeciążona pracą, czy ucieka się Pani do jakichś szczególnych sposobów relaksacji — może uprawia jogę, albo medytuje?

— Nie. Myślę, że przy życiu trzymają mnie moje emocje, zapał i ambicje. To, że mieszkam w Milanówku — co zrobiłam dla całej rodziny — dla mnie oznacza, że około trzech godzin dziennie spędzam w samochodzie. To jest moja samotność, czas na myślenie, słuchanie muzyki i relaks.

— W bardzo harmonijny, godny zazdrości sposób łączy Pani karierę zawodową z życiem rodzinnym. Jakim cechom charakteru czy też

szczęśliwym gwiazdom Pani to zawdzięcza?

— Myślę, że zawdzięczam to mamie. Odkąd przyszły na świat moje małe dzieci, postanowiłam zamieszkać na nowo z rodzicami. Sprowadziłam ich do siebie. Dla nas wszystkich kupiliśmy i urządziliśmy wygodnie dom w Milanówku. Calej rodzinie tak jest lepiej, a dla mnie po wielu latach zaczęło się na nowo szczęście i jak gdyby druga młodość. Tak naprawdę to nie mama jest u mnie, ale ja u mamy, co oznacza, że jak za dawnych lat całkowicie beztrudnie spędzam czas poza domem i pracuję spokojnie, nie myśląc, że moim dzieciom mogłoby się stać coś złego. Gdy przez siedemnaście lat wychowywałam swoją córkę sama, przy pomocy obcych pań-gospodyń, dobrze poznałam ból brzucha ze strachu, że z Marysią dzieje się coś niedobrego. Od chwili, gdy na nowo zamieszkałam z mamą, uspokoiłam się zupełnie. Myślę, że rodzice to najlepsza instytucja jaka istnieje na świecie. Moje cechy charakteru miały tu znaczenie o tyle, że do tego, by żyć pod jednym dachem w trzypokoleniowej rodzinie, trzeba dojrzeć. To nie zawsze jest proste. Musimy respektować nawzajem swoje potrzeby, rozkład dnia, swoje śmieśzności. Staram się na przykład, kiedy mogę, dojechać do domu na obiad. To jest wspólne życie. Widzę w tym ukła-

dziwnych porach. Ale to jest naprawdę zabawne, choć nie wiem, czy kogoś innego by nie denerwowało.

— Pani najstarsza córka zamieszkała już jednak samodzielnie?

— To była moja decyzja. Marysia codziennie kończy zajęcia w szkole teatralnej dopiero o 9-10 wieczorem, a czasem jeszcze później. Pierwsz y

kała dalej ode mnie. Stały kontakt ze mną ukierunkowały ją w jakimś stopniu, a niepotrzebnie, gdyż powinna dawać sobie radę sama.

— Przed kilkoma dniami wróciła Pani z Finlandii. Co tam Pani robiła?

— Zaproszono mnie z „Kobieta zawiedziona”. Grałam sześć razy pod rząd dla fińskiej publiczności, która z tego co mówię nie rozumiała ani słowa. Sale były jednak pełne. W recenzjach napisa- no, że g r a m w „esperanto uczuć”, a moja twarz wyraża emocje zrozumi- ał na całym świecie. Mogę to chyba uznać za sukces?

— Spodobała się Pani Finlandia?



Fot. PAP/GAF — Archiwum

dzie wyłącznie plusy. Nic mnie tu nie drażni ani nie denerwuje. Nie przeszkadza mi, że ojciec na mnie krzyczy...

— Jak to — krzyczy na Panią?

— Ponieważ późno wracam. Nie może zrozumieć, że pracuję o tak

rok studiów jest niezwykle intensywny. Nie chciałam, by w nocy wracała pociągiem do Milanówka. Byłby to koszmar dla mnie i dla niej. A po drugie — teraz, gdy ona zaczyna wchodzić w zawód aktorski i w to środowisko, lepiej, by miesz-

— O tej porze roku jest tam jasno tylko przez godzinę dziennie. Dla mnie było to cudowne, bo cierpię na fotofobię — uczulenie na światło i słońce. To choroba zawodowa po tylu latach pracy w świetle reflektorów. Podczas corocznych wakacji we Włoszech bardzo cierpię i ciągle muszę się czymś osłaniać.

— Dlaczego więc jeździ Pani do Włoch?

— Robimy to z mężem dla naszych synów. Chłopcy uwielbiają się kąpać, a tam mają gwarantowane ciepłe wakacje. Ja zresztą także, poza tym że chorują moje oczy, dobrze się we Włoszech czuję.

— W Pani zachowaniu i w tym, co Pani mówi, widzę konsekwentne dążenie do normalności i brak artystowskiej pozy.

— Myślę, że uprawiam taki zawód, który opiera się o prawdę i normalność. Jeśli ktoś zafaszowuje swoje życie i siebie, to nie może być dobrym aktorem.

— Nie obrazi się Pani jednak, gdy powiem, że ten zawód sprzyja kabo-

tyństwu – wiele było i jest takich przypadków.

– Nie zastanawiałam się nad tym specjalnie. Żyję tak, by nam wszystkim było dobrze. Gdyby zawód był jedyną sprawą w moim życiu, może pragnęłabym kreować się na niezwykłą i fascynującą osobę. A tak – w domu nie opowiadam nawet, co robię aktualnie, nad czym pracuję. Mój ojciec nigdy nie był w teatrze.

– Ani razu?

– Nie chciał. I bardzo mi się to podoba!

– Rodzice oglądają Panią jednak w telewizji?

– Ale nie bardzo ich zachwyca to, co robię. I także mi się to podoba. Traktują mój zawód jak każdy inny. Nie robi na nich specjalnego wrażenia. Mama się denerwuje, gdy podczas zakupów w Warszawie ludzie zwracają na mnie uwagę i za każdym razem mówi, że już nigdy nigdzie ze mną nie pójdzie. Ma oczywiście rację. Co jakiś czas ktoś stara się zrobić wywiad z moimi rodzicami albo ich sfotografować, ale oni kategorycznie protestują.

– Jaki był dla Pani rok 1994, który właśnie się kończy?

– Tak naprawdę – ciężki. Uplynał pod znakiem nieobecności mojego męża, który wyjechał do Niemiec już 1 lutego, a wrócił dopiero 19 grudnia. Robił tam cztery duże filmy (mężem Krystyny Jandy jest znakomity operator filmowy, Edward Kłosiński – dop. red.). Zwyczajnie – zarabiał pieniądze, których na utrzymanie tak dużego domu i tak dużej rodziny trzeba niestety także bardzo dużo. I zarabia je właśnie on, a ja dzięki temu mogę pracować bez presji i pozwolić sobie na wybieranie ról, co jest niebywałym zawodowym luksusem. Przez cały rok byłam jednak zwyczajnie sama. Dzieci tęskniły bardzo za ojcem, a on za nimi i dzwonił do nas codziennie. Kiedy mąż jest w domu, zajmuje się chłopcami, organizuje nasz prywatny czas, czeka na mnie z obiadem i kolacją – to jest zupełnie inne życie. Na szczęście niemal przez cały przyszły rok będzie w kraju.

Drugą bardzo ważną dla mnie sprawą były w roku 1994 egzaminy Marysi do szkoły teatralnej. Jej decyzja, kim będzie w życiu. A poza tym „Hedda Gabler”, z którą wiązały się moje największe zawodowe emocje.

– Czego oczekuje Pani od nadchodzącego roku 1995?

– Mam nadzieję zadebiutować jako reżyser filmowy i zagrać w tym filmie główną rolę. Jeżeli wszystko się uda, to przekroczę kolejny próg – kto wie, czy nie najważniejszy od chwili mego zawodowego debiutu.

– Jaki to będzie film?

– Na motywach znanej książki Anki Kowalskiej „Pestka”. Trochę ją zmieniłam – bohaterka jest w moim wieku, przeżywa swą jedyną miłość i ostatnią szansę w życiu. Nie chciałabym jednak, by był to film wyłącznie o miłości.

– Kto będzie Pani partnerował?

– Po raz pierwszy znajdę się na planie filmowym z Danielem Olbrychskim. Zdjęcia będzie robił mój mąż.

– A jak spędzi Pani sylwestra?

– W domu! Sami z mężem! Broń Boże żadne bale! Od siedemnastu lat, odkąd jesteśmy małżeństwem, tylko raz byliśmy na balu sylwestrowym poza domem i wspominamy to jak horror. A propos – czy mogę, korzystając z okazji, złożyć życzenia noworoczne waszym Czytelnikom?

– Ależ oczywiście!

– Życzę więc państwu gorąco wszystkiego dobrego i spełnienia marzeń.